

Z KRYSTAŁOWEJ KULI

Wojciech Natanson

Skiócona rodzinna — jak w wielu sztukach bulwarowych. Ojciec, matka, dwoje dorastających dzieciaków, skaczących sobie do oczu, lub bawiących się w trochę podejrzaną grę. Wybuchoł spór między ojcem a synem; chłopak, rozgniewany i wypędzony, porzuca dom rodzinny.

Tak się zaczyna komedia René de Obaldia „Wiatr w gałęziach sasafrasu”, grana w warszawskim Teatrze „Rozmaitości”. Pierwsze minuty spektaklu nie przypominają innych utworów tego autora np. dowcipnej „Genousie”, którą oglądałem na kameralnej scenie TNP. Nie są też podobne do krótkutkich opowiadań, które nam Obaldia czy-

przedstawiciel Indian przyjaznych (Zbigniew Dobrzyński). Dziwnym, niemal kabaretowym językiem, zapowiada pojawienie się innych Indian: wrogich, dzikich, morderczych. Western? Parodia filmów z życia „Dzikiego Zachodu”? Zapewne. Ale wszystko się tu dzieje jak w owym wróżeniu z kryształowej kuli. Przywódca Indian wrogich ma twarz identyczną z tą, którą ukazał sympatyczny Indianin-przyjaciel. Obie postacie mogą być grane przez tego samego aktora — bez zmiany charakterystyki i kostiumu. Wystarczy także, by trochę zwariowana, wykolejona, ale nie zatracająca dziewczęcej świeżości kurtyzana, raniona zatrutą strzałą, wyraziła

nach. Koncentruje się na fabule. I na postaci. Głównym celem kpiny okazuje się stereotyp. Stereotyp wypadków i naturalnie, stereotyp bohatera”.

Bardzo to ładna i interesująca hipoteza. Walka ze stereotypem, kliszą, schematem, była, jest i będzie jednym z wielkich zadań literatury i teatru. Myślę, że Fredro w tych celach pisał „Nowego Don Kichota”, Szaniawski organizował kpiny z „kwadransu duszy”, Planchon ze swą trupą komponował „Trzech muszkieterów”. Walka z uprozonym i nie sprawdzonym sposobem wyjaśniania zjawisk jest pierwszym krokiem do znalezienia lepszych (i bardziej zajmujących) myśli, emocji, czy ruchów wyobraźni. Ale nasuwa się wątpliwość, czy dzieło sztuki można całkowicie wyprowadzić z dążeń polemicznych. Procesy twórcze nie mieszczą się w granicach wymiany poglądów. Można w „Sasafrasie” dostrzec zjawiska przekraczające granice literacko-filmowej czy obyczajowej parodii. Utwór ten działa nie tylko przez przeciwstawianie i zaprzeczanie. Potrafi wyczarować źródła radości.

Spektakl „Rozmaitości” jest subtelnie i zreżyszerowany przez Irmę Czaykowską, wrażliwa



Teatr „Rozmaitości” w Warszawie. René de Obaldia: „Wiatr w gałęziach sasafrasu”. Jołanta Lothe (Pamela) i Zbigniew Dobrzyński (Oku Kuropatwy).
- Fot. W. NOWAK

tał w Salle de Lecture Française w Warszawie, przy al. Wyzwolenia. Czytał bez ekspresji, głosem nieco matowym i bezbarwnym. Jednak potrafił z najprostszego zdania wy-czarować błyski humoru.

Otóż bądźmy cierpliwi. Także i w „Sasafrasiu” zaczną się dziać rzeczy niecodzienne. Zahukana żona amerykańskiego osadnika na „Dzikim Zachodzie”, pani Karolina, jest wyznawczynią magii. Ze skrzyń wyciąga kryształową kulę, wpatruje się w nią, wpada w trans, staje się jasnowiedzącą. Jej mąż, inni domownicy (a także widzowie spektaklu) przyjmują ów obrzęd — jako objaw nieszkodliwej magii. Dla aktorki, która gra tę rolę, Wandy Stanisławskiej-Lothe, epizod staje się momentem niezwykłego popisu. Gra go najnaturalniej w świecie, bez efektów czy sztuczek. Otóż owo wróżenie z kryształowej kuli staje się w spektaklu momentem zwrotnym. Ze sceny tej, jak z magicznego zaklęcia, wyprowadzony zostaje nastrój utworu. Niemal całkowicie mieści się on w granicach niezwykłego i oryginalnego humoru.

Gdyż to, co przesądna kobiecina widzi w swej kuli — zaraz się spełnia. Tętent konia, usłyszany w transie, zmienia się w rzeczywistość. Na tym rumaku podjeżdża

zał, że nie może wyjść za mąż — a natychmiast się realizuje to marzenie, znajduje się odpowiedni kandydat, improwizuje małżeński ceremoniał...

Krzyżują się epizody awanturnicze, bojowe, farsowe, groteskowe, miłosne, satyryczne — i takie, które wyglądają na pożyczki z *commedia dell'arte*. Wszystko wydaje się maszyną do wywoływania śmiechu, organizowania zabawy.

Podczas pauzy przeczytałem w programie inteligentny i pobudzający szkic Lecha Budreckiego „Schemat i parodia”. Nieco inaczej interpretuje on problem Obaldioskiej komedii; „Wiatr w gąsienicach sasafrasu” zdaniem Budreckiego „mówi o konwencjach artystycznych — o konwencjach literackich i konwencjach filmowych. Jest parodią. Przedrzeźnia powieść o Dzikim Zachodzie. I film o cowbojach. Jednym słowem przedrzeźnia western. Parodia ma tu wszelkie znamiona tzw. parodii materialnej. Jej obiektem staje się więc nie tylko sposób organizacji utworu, czy raczej gatunku, bo o gatunek tu przecież idzie (...), a więc w pierwszym rzędzie rodzaj języka, typ słownego tworzywa. Parodia mierzy tu przede wszystkim w znaczeniowe tego języka funkcjonowanie. W to, co powołuje ona do życia, co niejako stwarza, wyznacza — w świat przedstawiony. Obaldia przedrzeźnia wizję świata, zawartą w wester-

na komediową fantastyczność „Sasafrasu”. Wspomniałem o tym, jak gładko i szczęśliwie naturalność w grze Wandy Stanisławskiej-Lothe przeobraża się w niezwykłość sceny z „kulą magiczną”. Może nie tak wyrafinowaną, ale równie pełną, prostotę środków prezentuje Stanisław Winczewski w roli Starego Osadnika. Nie mogę analizować gry wszystkich wykonawców. Ale trudno nie wspomnieć o Kazimierzu Meresie, który uwierzytelnia postać Carlosa, ukazanego w tekście jak posąg boga Janusa o wielu obliczach.

Publiczność zasługuje na wzmiankę. Byłem na jednym z popremierowych spektakli; na widowni nie widziałem twarzy znajomych i popularnych. Dużo młodzieży! Otóż swym bujnym, chętnym i sympatycznym śmiechem, rozbrzmiewającym w sytuacjach nie zawsze łatwych, publiczność ta dała dowód, że umie docenić humor dobrego gatunku i wyobraźnię śmiałą. A może się o tym u nas zapomina? Może za nisko ocenia się, czasem, smak i kulturę widzów?

WOJCIECH NATANSON

Teatr „Rozmaitości” w Warszawie, Re-né de Obaldia: Wiatr w gąsienicach sasafrasu. Przekład i adaptacja — Kazimierz Piotrowski, reżyseria — Irma Czaykowska, scenografia — Ryszard Kuzyszyn.